



Prof. Wiktor Zin z wnukiem w otoczeniu uczestników IX Spotkania Redakcji Gazet Akademickich

KRAKOWSKIE KLIMATY

Od dziecka lubię bywać w Krakowie. Nawet teraz, gdy zna ne mi są uroki najróżniejszych zakątków świata, te krakowskie wciąż nie zatracają powabu, a wręcz przeciwnie, dopiero teraz dostrzegam ich sekretne wdzięki, skrywane niegdyś przed profanem. Przemierzając się niespiesznie znad morza ku przedgórzcu Podhala (raz zdarzyło mi się z wawelskich murów widzieć tatrzańskie grzbiety) odkrywam po raz kolejny desygnaty kulturowego krajobrazu, który z pomorsko-pruskiego pejzażu przemienia się w mazowiecko-kongresówkowy, by w końcu przyjąć małopolsko-galicyjską postać. Nieodmiennie znajduję, iż lubią nas – ludzi z północy – tam na południu, tak już nieodległym od krain wina, co podstępnie potrafi spowalniać ciało i przyspieszać myśl... Ale z początkiem tegorocznego września w Stołeczno-Królewskim Mieście panował skandynawski chłód, na polu przenikający odzież i studzący wspomnienie niedawnego jeszcze skwaru. Nie ulegli temu organizatorzy IX Spotkania Redakcji Gazet Akademickich, zapewniając gorące przyjęcie 56 przedstawicielom 32 tytułów prasowych.

Prasa to jest prasa, trzeba z nią ostrożnie – żartobliwie przywitał zebranych w Sali Senackiej Politechniki Krakowskiej prof. Marcin Chrzanowski, prorektor ds. rozwoju uczelni i współpracy z zagranicą. Ustupujące w przyszłym roku kierownictwo zostawia następcom dokument nietypowy – Misję Uczelni – w którym m.in. czytamy: „Uczelnia jako instytucja wyższej użyteczności publicznej, powinna dbać o odpowiednio wysoki poziom kulturowy absolwentów poprzez humanizację studiów, w tym zaznajamianie z ojczystą historią i kulturą, rozwijaniu umiejętności posługiwania się językiem ojczystym, a także nauczanie na odpowiednim poziomie języków obcych”. Wśród wyzwania oczekujących szkolnictwo wyższe jest reorientacja kształcenia zawodowego na potrzeby społeczeństwa przyszłości, kiedy to Internet zapewni zdalne i masowe nauczanie, ale o jego jakości nadal decydować będzie bezpośredni kontakt studenta z prawdziwym nauczycielem akademickim. Taki właśnie kontakt sprawił, iż wszyscy zebrani przedzierzgnęli się w żaków z niegdyśszą atencją wpatrzonych i wsłuchanych w Mistrza, prof. Wiktora Zina. On to właśnie zechciał odsłonić przed nami rąbek tajemnic Krakowa przedlokacyjnego, którego relikty widział podczas badań archeologiczno-architektonicznych w Rynku. Pod dzisiejszym brukiem, a ściślej – kamiennymi płytami, na głębokości 6-6,5 m kryją się zabudowania Kra-

mów Bogatych o wymiarach 110 x 10 m, a kościół św. Wojciecha stoi na pradawnej świątyni... Sporo też zgliszcz, spaleniżny i szczątków dawnych najeźdźców... Zaś płaskorzeźby zdobiące elewacje krakowskich zabytków ożywiają w świetle księżyca, ukazując wybranym swoje sekretne znaczenia... No i popaśnice...

„**Trup na pierwszej stronie**” to niezawodny wyróżnik prasy komercyjnej. W Krakowie w symbiozie z inteligenckim „Dziennikiem Polskim” wyhodowano „Dziennik Akademicki”, owocujący co dwa tygodnie w nakładzie do 100 tys. egzemplarzy kolumną publicystyczną, prezentującą problemy środowiska akademickiego. Jest to znany sprzed lat i na Wybrzeżu sposób informowania społeczeństwa o tym, co słyhać za murami szkół wyższych, a dziś skuteczny w Krakowie tym bardziej, iż honoraria autorskie wypłacają zainteresowane uczelnie, bo, jak wspomniano, nie wypada, aby profesor pisał o sobie. Chciałoby się zakrzyknąć, że to sposób godny naśladowania. Ba, ale przez kogo? Jak ujawnił nam dr Włodzimierz Chorążki z Ośrodka Badań Prasoznawczych Uniwersytetu Jagiellońskiego, tego samego, który skwapliwie kolekcjonuje wszystkie numery naszego PISMA PG, jedynie wydawcy dwóch dzienników wielkonakładowych w Polsce posiadają większościowy, ale już nie stuprocentowy, kapitał polski. Kto więc informuje nas o naszych sprawach? Ale wracając do gazet akademickich, to jest ich ok. 200 tytułów „papierowych” oraz 47 tytułów „elektronicznych” w Internecie; wydawcą 60% tytułów jest administracja instytucji szkolnictwa. Są to, jak nam powiedziano, na ogół „biuletyny dworskie”, których cechą charakterystyczną jest brak swady. A tymczasem funkcje tych wydawnictw są podobne do prasy lokalnej i powinny one:

- informować o swoim środowisku;
- kontrolować władze zwierzchnie;
- promować inicjatywy środowiskowe;
- pełnić rolę trybuny społeczności akademickiej;
- integrować środowisko;
- kształtować opinię społeczną;
- promować kulturę;
- promować osiągnięcia naukowo-techniczne;
- edukować w zakresie ekonomiczno-gospodarczym; dostarczać rozrywki.

Niechże teraz Szanowny Czytelnik będzie uprzejmy ocenić

po swojemu, czy PISMO PG funkcje te spełnia? Ale i też grzecznie prosimy, aby swoją w tym względzie rolę uwzględnić raczył. Gdzież te porywcze polemiki, owe felietony z perlistą puentą, czy reportaże pulsujące emocjami? Owszem, rozumiemy: – że może jeszcze nie dziś, że może jutro. Azaliż czasami chciałoby się powiedzieć – jak postać w Kantorowskim „Wielopole, Wielopole” – Wychodzę. Wychodzę!

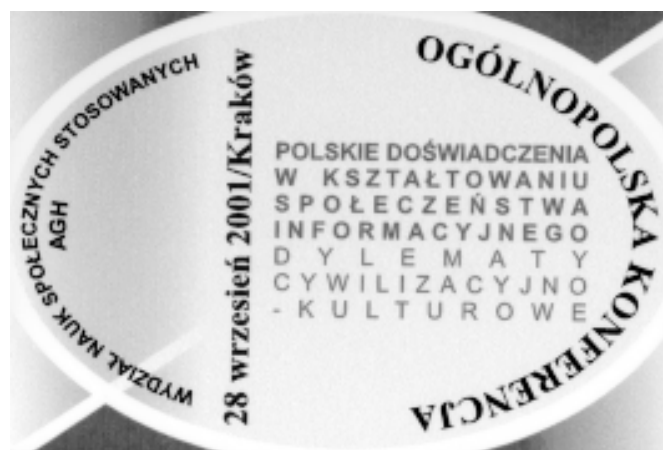
Strong bezalkoholowy – to byłby ideał pism akademickich, bo z pewnością owa groteskowa statystyka, według której 70% widzów nie rozumie treści podawanych w dziennikach TV, nie dotyczy środowiska, w którym i dla którego one powstają. Ale Zespół Redakcyjny PISMA PG jeszcze nie redaguje przekazów medialnych (jak nas pouczono w Krakowie, medium to pozagraficzne przedstawienie treści, czyli telewizja, radio, telewizja kablowa, Internet), chociaż na 24 stronie niniejszego numeru nasz redakcyjny beniaminek ujawnia błyskotliwą inicjatywę swojego pokolenia: RADIO INTERNETOWE! Bardzo chcielibyśmy ulżyć rektorskim cierpieniom, o których mówił ze swadą prof. Ryszard Tadeusiewicz, rektor AGH. Otóż ci na szczytach władzy nie zawsze są informowani szczerze i do końca o pewnych sprawach, a grono potakiwaczy skrupulatnie podtrzymuje „syndrom pawia”, co sprawia, iż władza może trwać i grzęznąć w błędach.

Bądźcie nie tylko tubą, ale i sumieniem uczelni – zaapelował do zebranych JM Rektor AGH. Poruszeni i niewątpliwie dowartościowani tym redaktorzy prasy akademickiej już spolegliwie dali się uwieść urokom i przerazić zasadzkami e-społeczeństwa, po którym oprowadził prof. R. Tadeusiewicz podczas nadzwyczajnego wykładu „Prasa papierowa versus publikacje w Internecie – konkurencja czy obustronnie wzmacniająca się synergia”. Otóż na terenie AGH powstało Miasteczko Internetowe, dzięki zainstalowaniu w każdym pokoju studenckim dwóch przyłączy. Na nowo powstałym Wydziale Nauk Społecznych Stosowanych AGH, pierwszym tego rodzaju na uczelni technicznej w Europie Środkowowschodniej, realizowany jest wieloletni program badawczy mikrospołeczności informacyjnej, którego pierwsza faza pilotażowa objęła ok. tysiąca respondentów. Wśród nich można wyróżnić trzy grupy:

- internariat – intensywnie korzysta z Internetu, także w celach zarobkowych;
- digitariat – biernie użytkuje Internet, np. zamiast uczęszczać do biblioteki;
- proletariat – nie korzysta z dostępu do Internetu i alienuje się spośród pozostałych grup.

Już wstępne wyniki badań i obserwacji potwierdzają występowanie zjawisk znanych w społeczeństwach informacyjnych: specyficzna hierarchia wartości, patologiczne uzależnienie od Internetu, wyznanie wiary elektronicznej: „nie istnieje to, czego nie ma w Internecie”; smog informacyjny niosący informacje toksyczne. Aksjologia Internetu została zbadana według słów sztandarowych odpowiadających obrazowi aksjiosfery w świadomości zbadanej grupy 718 studentów i 190 pracowników AGH. Listę 63 haseł utworzono na podstawie słów wartości najczęściej występujących w prasie w II poł. 2000 r. Hierarchia siedmiu wartości od najwyższej według mirand grupy studenckiej wygląda następująco: miłość, zdrowie, rodzina, przyjaźń, szczerłość, wykształcenie, prawdomówność. Najwyżej więc uplasowały się wartości indywidualne, natomiast znakiem czasu jest umiejscowienie słów wartości społecznych na znacznie niższych pozycjach: demokracja – 24, naród – 32, społeczeństwo – 44, prezydent – 47, samorząd – 58, rząd – 63. Internet

znalazł się na 23 miejscu. Wspomnieć wypada o antymiranadach, wśród których na czele pojawiły się: korupcja, sekta, mafia, przemoc, a Internet zajął 19 miejsce. Można zatem stwierdzić, iż Internet jest tzw. disputandum i posiada zarówno zwolenników (umiarkowanie), jak i przeciwników (umiarkowanie). Pozytywnym zjawiskiem jest dodatnie skorelowanie stopnia kontaktu z Internetem i zainteresowania książką papierową. Z wielu badań wynika, iż większość internautów poświęca średnio 30 sek. na ogląd strony wyświetlonej na monitorze, co nie oznacza jej przeczytania, gdyż naturalne tempo przyswajania informacji odpowiada prędkości mówienia. Zatem Internet jest medium niespójnym z biologicznymi predyspozycjami człowieka, a ponadto informacja pobierana za jego pośrednictwem może być „przemycana” do umysłu poza kontrolą świadomości. Tak więc, póki co, prasa gutenbergska ma rację bytu, ale w przyszłości...



E-SPOŁECZEŃSTWO (Z notatek uczestnika konferencji)

Społeczeństwo informacyjne wymyślił przez 40 laty Japończyk Tadao Umesao. Globalną wioską, według McLuhana, miała tworzyć ogólnoswiatowa sieć telewizyjna (medium informacyjne), a tymczasem pojawiła się sieć Internetu (medium komunikacyjne). Po zbudowaniu infrastruktury technicznej, umożliwiającej upowszechnienie do niej dostępu, nadszedł czas, a może najwyższy to już czas, aby zająć się nietechnicznymi aspektami formowania społeczeństwa informacyjnego. Ku czemu zmierza transformacja cywilizacji? Jeśli technika i nauka, czyli technologia, będą decydowały o kształcie przyszłości, to można przewidywać złe tego skutki. Zło, które przyniosła technologia, ona sama powinna naprawić. Ale czy jest w stanie uczynić to samodzielnie? Z pewnością nie! Sprzymierzeńców należy poszukiwać pośród nauk humanistycznych, gdyż technika jest sprawą zbyt poważną, aby zostawić ją w rękach samych techników. Politycy oczekują gotowych recept i nieustannie „pochylają się ze zrozumieniem nad problemem”, tymczasem e-społeczeństwo i e-Europa to nowe jakości in statu nascendi, wymykające się spod kontroli. Zmniejsza się rola państw narodowych i zanikają ich podstawowe wartości państwa dobrobytu i osłony socjalnej. Przed nauką stoją wyzwania pilnych badań, pozwalających rozdzielić zjawiska incydentalne od trendów generalnych i dających odpowiedź na wiele pytań, np.: co jest mierzalnym wyróżnikiem e-społeczeństwa, jak przeobraża się jego struktura, jak kształtują się więzi społeczne,

co dzieje się z pracą, jacy są ci na pierwszej linii rewolucji informacyjnej i jakie wartości wyznają? Czy społeczeństwo informacyjne może być podstawą kształtowania się społeczeństwa globalnego? Jak traktować „naturalne” eliminowanie grup etnicznych, wiekowych, niepełnosprawnych, ubogich itp. z e-społeczności? Czy e-społeczństwo odbierze człowiekowi intymność – indywidualne odczuwanie sekretnej przyjemności? Nie istnieje w Polsce przemysł high-tech, stąd nie odczuwamy jeszcze wspomnianych problemów, występujących już w USA i Japonii.

Puenty wypowiedzi referentów i dyskutantów

- Trzecia fala Tofflera podmyła mury AGH – o powołaniu wydziału humanistycznego na AGH
 - Posiadanie kluczyków nie zastąpi samochodu – a propos wyznaczników e-społeczństwa
 - P2C2BE – zakodowana informacja podana słuchaczom w formie SMS-a (Process Too Complicated To Be Explained)
 - Pionierów poznaje się po tym, że mają strzały w plecach – o pionierskim przedsięwzięciu badawczym mikrospołeczności informacyjnej, podjętym na AGH
 - Umiejętność słuchania jest najcenniejszym przymiotem menedżera – o komunikowaniu interpersonalnym w zarządzaniu wobec oferty technologii informacyjnej
 - Technologia jest elementem kultury, wyrażając i odzwierciedlając możliwości społeczeństwa – o relacji: społeczeństwo – technologia – kultura
 - Kultura danej społeczności wyraża się poprzez sposób bycia i zachowanie jej członków – o relacji: firma – społeczność – kultura
 - Wartości kulturowe są czynnikiem decydującym o powodzeniu wdrożenia nowej technologii – o transferze technologii jako czynnika rozwoju gospodarczego
 - Sukces gospodarczy zależy wyłącznie od technologii – o znaczeniu nakładów na badania naukowe i rozwój techniczny
 - Powinnością uczonych jest opisywanie świata, ale ci, którzy opisują, powinni być w owym świecie obecni – o kompetencji w czasach supermarketyzacji wiedzy
 - Uczelnia tak długo będzie uczelnią, dopóki będzie można w niej spotkać uczonych – o tradycyjnej uczelni „muruwanej” i „wirtualnej”, kształcącej na odległość
 - Jak wliczyć Chopina w dochód narodowy? – paradoks globalnego kapitalizmu zamieniającego wszystko w towar
- Referaty konferencyjne dostępne na stronie:
www.agh.edu.pl/agh/dep/INS/konferencja



Wawel jakim go widzi hejnalista w wieży Kościoła Mariackiego (u góry). Hejnalnica Kościoła Mariackiego, 5 września 2001 r., godz. 16.00 (z lewej) (fot. W. Affelt)

Kultura i technika w jednym stoją domku... jak można by wnioskować z gościny w AGH, gdzie u góry, pod samym dachem ma siedzibę Balet Form Nowoczesnych, działający nieprzerwanie od 1969 r. Jego spiritus movens Jerzy Maria Birczyński czujnym okiem oglądał spektakl specjalnie dla nas przygotowany i brawurowo zatańczony wieczorową porą przez uroczę dziewczyny. Niestety, intensywny

program obrad nie dał sposobności odwiedzenia innego „podniebnego” ośrodka kultury – Muzeum Historii AGH z pogładową kolekcją eksponatów i dokumentów ilustrujących dzieje hutnictwa i górnictwa na terenie Polski oraz wkład Uczelni do dziejów najnowszych tych działów gospodarki. Kulturalnie było od początku – wizyty u hejnalisty na Hejnalicy Kościoła Mariackiego, do pożegnalnego spotkania w średniowiecznych podziemiach przy ul. Kanoniczej, gdzie gospodarzem był prof. Kazimierz Flaga, rektor Politechniki Krakowskiej. Podkreślił on troskę o kulturę na swojej Uczelni, gdzie istnieją trzy galerie wystawiennicze, jeden teatr „Zależny” oraz chór i klub taneczny. Obaj rektorzy zaszczylicili swoją obecnością ostatnie wspólne chwile redaktorów prasy akademickiej w po staropolsku gościnnym Krakowie. Nie szczędzili nam stosownych życzeń i serdecznych słów podziękowania za pracę, której specyfikę znają jakże doskonale. To było bardzo miłe, chociaż tak nieczęste podczas codziennego trudu pełnienia misji sumiennej „tuby” społeczności akademickiej. Może warto podkreślić, iż jest ona pośród zagranicznego kapitału drukowanych mediów informacyjnych całkowicie polska i – aż dech zapiera – może jedna z ostatnich... Przyszłoroczne Spotkanie Redakcji Gazet Akademickich odbędzie się w Płocku. A może by tak zaprosić to towarzystwo na Politechnikę Gdańską? Wszak obchody Roku Jubileuszowego Politechniki Gdańskiej i tę imprezę mogłyby pomieścić w swoim programie...

*Waldemar Affelt
Wydział Inżynierii Lądowej*

Mongolia i Chiny 2001

Jesteśmy studentami trójmiejskich uczelni. Podczas wakacji 2001 r. zorganizowaliśmy pod patronatem Jego Magnificencji Rektora Politechniki Gdańskiej dwumiesięczną, naukowo-krajoznawczą wyprawę do Mongolii i Chin.

Pokonałszy trasę około 25 tysięcy kilometrów, każdego dnia spotykało nas coś nowego. Nie sposób wszystko opisać. Postaramy się jednak przybliżyć Wam klimat wyprawy oraz nasze przygody. W listopadzie zorganizowaliśmy wystawę zdjęć (GG, hol na 3. piętrze) oraz pokaz slajdów z eskapady.

Wyjeżdżając, czułem się dosyć niepewnie. Idąc za radą bardziej doświadczonych, przygotowałem się na dawanie łapówek i trudności na granicach. Wiele rzeczy pozostawało dla mnie zagadką. Jednak okazało się, że nie było powodu do obaw. Nikt nas nie zaczepiał, a z pozoru beznadziejne sytuacje w konfrontacji z naszym optymizmem i inicjatywą szybko się rozwiązywały.

Zarys trasy: wyruszyliśmy z Gdańska siódmego lipca, przez Białoruś do Moskwy, skąd Koleją Transsyberyjską pojechaliśmy do Irkucka. Stamtąd wynajętym stateczkiem popłynęliśmy na Bajkał. Kolejne dwa dni trawersowaliśmy wzdłuż jego cudownego brzegu po stromych górach wyrastających z krystalicznie czystej i okropnie zimnej wody. Następnie, zdrowo spóźniwszy się na pociąg, wynajęliśmy na kilka godzin wagon techniczny (dźwig) wraz z lokomotywą, który podrzucił nas kolejne kilkadziesiąt kilometrów. Po kilku przesiadkach dotarliśmy do stolicy krainy Czyngis-chana. Tam wyszukaliśmy dzielny autobusik, którego nie zapomnimy chyba do końca życia. Nasza mazda była przez następne trzy tygodnie szesnastym członkiem wyprawy. Przejechaliśmy nią ponad trzy tysiące kilometrów, ze średnią prędkością 20 km/h. Jechaliśmy po bezkresnych stepach, wspinaliśmy się na ogromne przełęcze, smażyliśmy się na pustyni Gobi, mijaliśmy piękne pasma górskie z lodowatymi jeziorami, wulkanami i ośnieżonymi szczytami.

Po powrocie do Ułan Bator i upragnionej kąpieli wyruszyliśmy na południowy wschód, w kierunku Chin. Przed Pekinem zatrzymaliśmy się w Datongu, zwiedzając fantastyczne rzeźby sakralne w piaskowcu i robiący ogromne wrażenie klasztor przyklejony do pionowych skał. W Pekinie zatrzymaliśmy się na kilka dni. Dużo zwiedzaliśmy. Robiliśmy też zakupy, nieradko stargowując ceny ponad dziesięciokrotnie. Nie mogliśmy nie wybrać się na Mur Chiński, przebiegający tylko 30 km od stolicy. Nocowaliśmy w jednej z baszt tej widocznej z kosmosu konstrukcji. Mimo dachu nad głową, ogromna ulewa dała nam się we znaki.

Powrót do Polski zajął nam dwanaście dni. Nie chcąc wracać tą samą drogą, postanowiliśmy ominąć Mongolię szerokim łukiem. Przekroczywszy promem granicę chińsko-rosyjską (rzeka Amur), wylądowaliśmy na dwie noce na zapleczu jakiejś restauracji. Czekaliśmy tam na Kolej Transsyberyjską – o biletach z dnia na dzień można tylko pomarzyć. Następne siedem dni w pociągu nie zrobiło na nas wielkiego wrażenia. Jednak po przekroczeniu naszej granicy, ojczysty język i lyk zimnego polskiego piwa powodował pojawienie się łezki w oku. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Ktoś może zapytać o cenę naszej eskapady. Otóż nie była ona zbyt wygórowana, nawet jak na stu-

denką kieszeń. Zapłaciliśmy za wszystko około dwóch tysięcy złotych na osobę. Przecież więcej można „puścić” w ciągu wakacji, będąc na kilku biwakach!!!

Bardzo chciałbym podziękować **sponsorom**, którzy materialnie wsparli naszą wyprawę. Firma **Euroland**, przedstawiciel **Kodaka** na Polskę północną dostarczyła nam wiele materiałów fotograficznych i umożliwiła darmowe ich wywołanie. **IDEA** wsparła nas finansowo. **NATA** zaopatrzyła nas w napoje, jakże potrzebne każdego ranka w Kolei Transsyberyjskiej. Znaczącą część środków otrzymaliśmy także od **Rektora PG i Dziekana Wydziału ETI**.

Patronem medialnym wyprawy było **Radio Gdańsk**. Również „Dziennik Bałtycki” podpisał z nami umowę o patronat, z której jednak w najmniejszym stopniu się nie wywiązał.

Współorganizatorami wyprawy, pomagającymi nam głównie w sprawach formalnych, były **Studenckie Koło Przewodników Turystycznych i Stowarzyszenie Inicjatyw Studenckich** przy Politechnice Gdańskiej.

Dziękuję.

Maciej Kurant

Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Autentyczny e-mail wysłany z Ułan Bator

Żyjemy!!!! Cześć rodzice, ciotki, wujki i znajomi!

Trudno w to uwierzyć, ale właśnie zamknęliśmy 3000 km pętlę po Mongolii!

Bawiliśmy się wspaniale. Wszyscy są cali i uśmiechnięci, choć brudni i padnięci.

Nareszcie powrót do „cywilizacji”! Ułan Bator, który przed trzema tygodniami był dla nas brudnym i chaotycznym miastem, przez ostatnie kilka dni podróży nazywaliśmy naszym domem. Dziś upragniony prysznic i noc w znajomym hotelu!!! Wracamy do siebie.

Mongolia to wprost niesamowite bogactwo przyrody – skaliste góry o ostrych graniach i szczytach pokrytych lodowcami, a wśród nich rozległe zielone doliny z wartkimi strumieniami, pełnymi ryb (chłopacy raz nałowili ich tyle, że aż trudno było je zanieść do obozowiska, pycha!!!).

Mongolia to również rozległe stepy o krzaczastej, suchej roślinności. Pasą się tu ogromne stada krów, kóz, owiec, jaków i koni. Gdzieniedzie trafia się na białe jurty ludzkich osad. W końcu Mongolia to też krajobraz półpustynny z niską, karłowatą roślinnością, uwielbianą przez wielbłądy oraz z cudownymi



gorącymi wydmami.

A Mongołowie to spokojni i bardzo gościnni ludzie.

A oto kilka przydatnych uwag i rad dla podróżników (doświadczonych na własnej skórze):

- dowolnej długości odcinek trasy Mongoł spokojnie określi: „niedaleko”;
- nie należy się martwić, gdy po złapanej gumie Mongoł wrzuci do samochodu zepsute koło i pojedzie dalej nie założywszy nowego;
- stacja benzynowa to rura od odkurzacza wyrastająca z ziemi;
- wielbłąd to skrzyżowanie żółwia z osłem (uparciuch i flegmatyk);
- wielbłąd nie reagujący na magiczne słówko „czu” (wio) udaje, że nie rozumie polskiego akcentu;
- zasięg wkurzonego plującego wielbłąda, to 2-3 m;
- mongolskie kozy nie robią „me” tylko „prrr”;
- sztuką jest znaleźć ustronne miejsce na załatwienie potrzeb fizjologicznych w stepie (średnia wysokość roślinności <10 cm), polecany przenośny parawanik;
- gdy Mongoł mówi „idzie wiatr” znaczy to, że za chwilę wszystko co masz zniknie w tumanach pyłu wzbijanych przez potężną burzę piaskową;
- polskie namioty słabo trzymają kształt w takich warunkach i absolutnie nie są pyłodporne;
- średnia wysokość nadproży to 1,5 m, chłopcy mają guzy na czołach;
- nigdy nie walczył nawet z najbardziej chuderlawym Mongołem w zapasach (25:0 dla Mongolii), ewentualnie spróbuj siłowania na rękę, w koszykówce wygrana jest murowana;
- jeśli trafisz na narodowy festiwal Naadam, to jako „białas” będziesz na nim największą atrakcją;
- Mongoł potrafi z mleka dowolnego zwierzęcia (a do tego też konie i jaki) przyrządzić każde danie (np. cukierki „łamiżabki”);
- 99% Mongołów pod tradycyjnymi płaszczami nosi dresy, koniecznie z trzema paskami Adidasa;
- spotkany Mongoł w klapkach i podartych kalesonach może się okazać policjantem na służbie;
- typowy Mongoł od poniedziałku do soboty nie robi absolutnie nic, a w niedzielę odpoczywa.

Marta Rybczyńska

Studentka Wydziału Architektury

Maciej Kurant

Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Nasza ekipa



Wieras w locie

„Zapasy”

„Potrzebny jest pasek” – powiedział na migi, na wpół rozebrany Mongoł stojący naprzeciwko mnie. Po chwili uzupełniłem strój i lekko pochylony, powoli zbliżyłem się do przeciwnika. Był mojego wzrostu, podobnej budowy. Miał na sobie wysokie skórzane buty i podniszczone, luźne spodnie. Tradycyjną, szpiczastą czapkę zdążył już zdjąć. Jego skośne oczy wwiercały się w moje. Wszelkie zamiary przeciwnika najwcześniej wyczytać można w jego oczach – musiałem wytrzymać ten wzrokowy pojedynek.

Nagle jego lewa ręka silnie chwyta mój bark. Odruchowo odrzucam ją zdecydowanym ruchem ciała. W odpowiedzi natychmiast rusza prawica przeciwnika. W połowie drogi spotyka się z moją. Siłujemy się na rękę. Napieram ze wszystkich sił. Początkowo bezskutecznie, po chwili chyba zaczynam wygrywać. Tak! Jego ręka powoli się cofa. Jestem silniejszy! Mogę to wygrać! Uratuję honor naszej ekipy! Teraz tylko szybki atak i jest mój! Błyskawicznie puszczam rękę przeciwnika i korzystając z jego chwilowego zachwiania mocno wychylony chwytam go za nogi. Mam go! Podnoszę... Mongoł coraz bardziej odchyła się od pionu... ten grymas na jego twarzy... on chyba już wie, że przegrał... ja też to wiem, a mimo to czuję się dziwnie... to pewnie smak zwycięstwa... tylko dlaczego krajobraz tak szybko się przewija... i co robią moje nogi na tle nieba? Dopiero gdy z hukiem gruchnąłem o ziemię, zrozumiałem, co się stało. To ja leciałem, a mój przeciwnik, twardo stojąc na ziemi, bardzo mi w tym locie pomagał. Ach, ta względność ruchu...

Maciej Kurant

Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Kartka z Dziennika wyprawy: 4.08.2001

Już drugi dzień na pustyni. Wyczerpujące brnięcie przez rozgrzane piaski pustyni i karłowatą roślinność. Na horyzoncie pojawia się studnia, do której zmierza karawana. Wielbłądy pędzą jak oszalałe, pewnie już słyszą dźwięk obracanego kieratu, teraz nic nie jest w stanie ich zatrzymać. Zeskakujemy z dwugarbów, wylewamy naszą starą rozpaloną słońcem wodę, napełniamy na nowo butelki zimną, upragnioną wodę i ... rozczarowanie – woda jest słona! Fuj!

Po pewnym czasie w obozowisku pojawiają się pierwsze namioty. Siedzimy zmęczeni i leniwie przygotowujemy wieczorny posiłek. Podchodzi jeden z towarzyszących nam Mongołów i spokojnie mówi „idzie wiatr”. W chwilę później robi się zupełnie ciemno, w tumanach piasku giną karimaty, menażki i ple-



caki, a silne podmuchy wiatru miotają namiotami we wszystkie strony. My walczyliśmy o przetrwanie. Wielbłądy w zbitej gromadzie, z zamkniętymi oczami cierpliwie czekają na koniec burzy. Mongołowie spokojnie przenoszą swoje dzieci do autobusu. „Czasami wieje dwie godziny, czasami dwa dni” – mówią. Rano jest pogodnie i słoneczne. Wyczerpani przemycamy pył z oczu i uszu. Nieopodal niewzruszone wielbłądy budzą się pełne sił do nowej podróży.

Wielbłądy to najśmieszniejsze zwierzęta na świecie, skrzyżowanie żółwia (flegmatyka) z osłem (uparciuchem). O tym, że gromadzą wodę w garbach w postaci tłuszczu, przez co są w stanie przemierzać pustynne tereny, wszyscy wiedzą. Dziwne natomiast są niektóre zwyczaje tych zwierząt, np. rozdrażnione strzykają przez zęby niestrawionym, zielonym pokarmem, a susiać potrafią niemal przez trzy miuty non stop. Garby wielbłądzie przedstawiane są na rysunkach z dużą przesadą. W rzeczywistości bywają one często oklapłe lub w ogóle w zaniku. Niby nie powinno dziwić, że wielbłąd przemierzający pustynię odżywia się suchymi, karłowatymi i kolczastymi krzewami, jednak gdy wśród wielu łagodniejszych roślin schyla się właśnie po kaktusy, jest to szokujące.

Jak się okazało, ten pustynny środek transportu nie należy do najwygodniejszych, a „białasom” może przysporzyć wielu problemów. Świadczy o tym fakt, że już następnego dnia wyprawy, z powodu obolałych tylnych części ciała, połowa grupy zrezygnowała z ujeżdżania garbatych.

Mnie się dostało najpiękniejsze stworzonko – duży, biały, puszysty albinos, o pełnych garbach. Pyszczyk uśmiechnięty, włochate uszka, i wytrzeszczone oczy... To niewiniątko zrzuciło mnie przy pierwszej okazji. Są to bardzo płochliwe zwierzęta. Gdy niespodziewanie spadła Magdzie butelka z wodą, całe stadko rozpierchło się i pognąło we wszystkie strony pustyni. Spadł Moduł, Tata i ja. Jankowi i Okraszowi natomiast udało się nawet przygalopować na swoich dwugarbach.

Manual wielbłądzi. Wielbłąd raczej zniży się aby przyjąć pasażera, usłyszawszy magiczne słowo „zug” (siad u wielbłąda jest czteroetapowy), natomiast ruszyć z miejsca na komendę „czu”. Jednak zwierzęta często udawały, że nie rozumieją polskiego akcentu.

Jeszcze szmat drogi przed nami, garbate już gotowe. Ruszamy!

*Marta Rybczyńska
Studentka Wydziału Elektroniki,
Telekomunikacji i Informatyki*

Słowo o Pekinie

„...najtaniej można zjeść w małych domowych barach. Lepiej jednak uzgodnić cenę każdego dania przed konsumpcją. My tego raz nie zrobiliśmy (faktycznie to nie uzgodniliśmy ceny piwa i ryżu, gdyż ceny ich były wszędzie takie same – przynajmniej tak nam się wydawało) i byliśmy więzieni w knajpie przez ponad godzinę gdyż odmówiliśmy zapłacenia astronomicznego rachunku. Na szczęście Chińczycy są bardzo mali..., karate też nie znają...”

Pekin nocą



„...targować trzeba się wszędzie. Na bazarze z taną chińszczyzną i w sklepie spożywczym. Gdy pierwszy raz wszedłem do pekińskiego sklepiku, sprzedawca z uśmiechem od ucha do ucha chciał mi wcisnąć dwie butelki wody mineralnej za mniej więcej 10 Pln. Ostatecznie kupiłem za trzy razy mniej... Na bazarach, gdzie można kupić wszystko, ceny zjeżdżały nawet 10-krotnie. Tylko uczciwość sprzedawców pozostawia wiele do życzenia. Razem z kumplem uczestniczyliśmy w niezłym cyrku: chcemy kupić obrazki z chińskimi motywami, targujemy się ponad pół godziny i udaje się uzgodnić sensowną cenę. Pani nie ściąga obrazków z wystawy, tylko przynosi z zaplecza ładnie zwinięte – rzecz normalna. Jednak coś mi mówi, że trzeba je sprawdzić. Każę rozwinąć i oczom nie wierzę! Dwa zupełnie inne obrazy. Protestuję, a pani sprzedawczyni przeprasza i jako zadośćuczynienie oferuje nam darmowe tuby. Godzimy się, ale tym razem obrazki wędrują z wystawy do tub. Jeszcze trzy sprawne ruchy sprzedawczyni i „arcydzieła” mamy w ręku. Dla przekory sprawdzamy zawartość i...obrazków nie kupiliśmy. Już nam się nie chciało.”

„...jesteśmy na Murze. Śpimy w baszcie. Od trzech godzin nie przestaje padać. Jestem obiektem wielu żartów, bo jako jedyny leżę w kałuży. Żartom nie ma końca, dopóki komuś nie odpływa kłapek. Woda z mojej komnaty przelewa się do innych. Czuję się usatysfakcjonowany – nie jestem sam w walce z żywiołem... W walce z przeziębieniem też nie byłem sam – chorowało pół ekipy. Na szczęście mieliśmy na pokładzie młodych medyków...”

Marcin Omernik

Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Uczestnicy wyprawy: Magdalena Skopek (PG), Anna Ostrowska (PG), Marta Rybczyńska (PG), Marta Skalska (UG), Jarosław Sączewski (AMG), Piotr Rusin (PG), Marcin Pawłowski (PG), Łukasz Plichta (AMG), Kamil Stadnicki (PG), Olgierd Mazur (PG), Marek Wieruszewski (PG), Marcin Okraszewski (PG), Jan Kozicki (PG), Marcin Omernik (organizator, PG), Maciej Kurant (organizator, PG).

Oficjalna strona internetowa wyprawy:

www.mongolia2001.prv.pl

Autorzy zdjęć: Anna Ostrowska, Marta Rybczyńska,

Jan Kozicki, Maciej Kurant, Marcin Okraszewski

